




Połączenie
mrocznego
thrillera
i gorącego
romansu

PRZECZUCIE

Idealne miasteczka zwykle skrywają mroczne tajemnice...

LUDKA SKRZYDLEWSKA

 editored

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/przez>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-7167-5

Copyright © Helion SA 2021

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niedługo będziemy — powiedział Smutny Pan Numer Jeden, który siedział za kierownicą nierzucającego się w oczy czarnego chevroleta. — Zobacz pani, że Belleville to naprawdę piękne miejsce.

— Lokalna społeczność jest bardzo ze sobą zżyta — dodał Smutny Pan Numer Dwa, oglądając się przez ramię. — Poza tym miasteczko jest malowniczo położone, nad samym jeziorem. Bliisko stamtąd do Nowego Orleanu. I miało niesamowite szczęście, bo ostatnie huragany ominęły je szerokim łukiem. Nawet Katrina zostawiła je właściwie nienaruszone.

Rany, oni chyba przed wyjazdem naczytali się jakichś przewodników, pomyślałam ze złością. Nic mnie nie obchodziła malowniczość Belleville i fakt, że mieszkańcy miasteczka trzymają się razem.

Czułam się trochę jak nastolatka, wbrew swojej woli wyrwana przez rodziców z rodzinnego domu i środowiska, które znała, i zmuszona do przeprowadzki na drugi koniec kraju. Tylko że nie byłam nastolatką, nie miałam rodziców i zamierzałam wrócić do Nowego Jorku tak szybko, jak to będzie możliwe. No i w wieku dwudziestu ośmiu lat wiedziałam już, że nie ma sensu wściekanie się na coś, na co nie miałam wpływu.

To tylko trzy miesiące, powtórzyłam sobie po raz setny podczas tej kilkugodzinnej podróży. Dwaj smutni panowie w czarnych garniturach towarzyszyli mi zarówno podczas lotu z Nowego Jorku do Nowego Orleanu, jak i później, w podróży samochodem do miejsca mojego zesłania.

Belleville leżało na północnym brzegu jeziora Pontchartrain. Sama zdążyłam całkiem sporo wygooglować na jego temat, bo nie byłabym sobą, gdybym się dobrze nie przygotowała. Z moich ustaleń wyłaniał się obraz świetnego miejsca do życia, z niską przestępczością, łagodnym klimatem, piękną okolicą i sympatycznymi ludźmi. Obraz miasteczka wprost idealnego.

Całkowicie nieakceptowalnego dla dziennikarki śledczej takiej jak ja.

Kiedy wybierałam to miejsce, nie wiedziałam jeszcze, że jest tak obrzydliwie idealne. FBI dało mi kilka opcji do rozważenia, a ja nie zastanawiałam się nad nimi długo. Jak zwykle po prostu zdałam się na intuicję. Wybrałam w ciemno, a potem trochę tego żałowałam.

Ale moja intuicja jeszcze nigdy mnie nie zawiodła.

— Na pewno spodoba się pani dom, jest w starym, kolonialnym stylu — zapewnił mnie Smutny Pan Numer Jeden. Nie wiedziałam nawet, jak oni się nazywali. — Będzie miała pani całe piętro dla siebie.

No tak. I w dodatku miałam mieszkać z jakimś obcym facetem.

— Jest całkowicie samodzielne — włączył się Smutny Pan Numer Dwa. Świetnie szła im ta synchronizacja. — Ma oddzielne wyjście i zewnętrzne schody. Może pani w ogóle nie widywać naszego agenta. Będzie się pani jednak na pewno lepiej czuła ze świadomością, że on jest tam na dole i pani pilnuje.

Och tak, oczywiście, czułam się wprost cudownie ze świadomością, że jakiś obcy mężczyzna, w dodatku agent FBI, miał być moją niańką i spać ze mną pod jednym dachem. Nawet jeśli piętro

było, jak zapewniali mnie smutni panowie, całkowicie samodzielne, to przecież z parteru nadal można było wejść na górę!

Spojrzałam w końcu za okno i z niedowierzaniem pokręciłam głową. Jeszcze nigdy nie byłam w Luizjanie i chociaż wiedziałam, czego się spodziewać, i tak byłam zaskoczona.

Po obydwu stronach samochodu rozciągała się woda. Jezioro, przecięte mostem Lake Pontchartrain Causeway, którym właśnie jechaliśmy, w blasku słońca skrzyło się wesoło i jakby do mnie mrugało. Przed nami zobaczyłam odległe budynki stojące na północnym brzegu. Poprzetykane obfitą zielenią drzew, były niskie i takie... płaskie. Cały krajobraz Luizjany wydawał mi się płaski w porównaniu z sięgającymi nieba wieżowcami NY.

W dodatku pogoda różniła się od tej, którą zostawiłam za sobą w moim rodzinnym mieście. W Nowym Jorku we wrześniu było kilka stopni zimniej, ale przede wszystkim w Luizjanie powietrze wydawało się bardziej wilgotne. I parne. Chociaż dwadzieścia pięć stopni nie było jakąś bardzo wysoką temperaturą, to jednak z trudem wytrzymywałam w dżinsach i ramonesce. Dziękowałam za istnienie klimatyzacji w samochodzie wynajętym na lotnisku przez smutnych panów.

Generalnie nic w tej podróży mi się nie podobało. Jednak nawet największa uciążliwość nie mogła się równać z faktem, że ktoś próbował mnie zabić.

Zadrzałam na samo wspomnienie tamtego zdarzenia sprzed kilku tygodni. Naprawdę niewiele brakowało, żebym zamiast w Luizjanie, tkwiła obecnie w grobie. Pocięczałam się więc myślą, że zawsze mogło być gorzej.

Po jakimś czasie, gdy już zjechaliśmy z mostu, przed oczami przemknęły mi pierwsze zabudowania Belleville. Tak bardzo brakowało mi nowojorskiej cegły, stali i szkła, że kuliłam się w sobie na widok przysadzistych domków z białą elewacją, otoczonych

mnóstwem drzew. Luizjana mimo nadchodzącej jesieni wciąż try-
skała zielenią.

Zajechaliśmy w końcu pod odpowiedni numer. Dom, w którym
miałam się zatrzymać przez najbliższe kilka miesięcy, znajdował
się poza ścisłym centrum miasta, na uboczu, niedaleko wijącej się
rzeki. Zacieniony, spory podjazd zaprowadził nas do głównego
wejścia do budynku, a ja pomyślałam złośliwie, że określenie go
„domem w starym, kolonialnym stylu” było sporym eufemizmem.

Dom może i był stary, miałam natomiast wątpliwości co do
stylu. Fasada z poziomo ułożonych desek, spadzisty dach i szeroka
weranda biegnąca wzdłuż frontowej ściany, podtrzymywana kil-
koma kolumnkami, z pewnością na niego wskazywały. Uroku
budynkowi dodawał płózający się na ścianie i oplatający werandę
bluszcz. Równocześnie jednak dom był wyraźnie zaniedbany, elewa-
cja wymagała odnowienia, a dach wyglądał dość niepewnie. Za-
częłam podejrzewać, że mieszkający w środku agent celowo wybrał
parter, żeby nie zostać któregoś nocy obudzonym przez lejący się
z sufitu deszcz.

Na piętro prowadziły przyklejone do bocznej ściany, z wyglą-
du nieco rozchybotane drewniane schody. Już sobie wyobrażałam,
jak przyjemnie będzie wchodzić na górę z walizkami.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Smutny Pan Numer Dwa,
jakbym nie zauważyła. — Przekażemy panią agentowi Blake’owi
i będziemy się zbierać.

Szarpnęłam za klamkę i wysiadłam prosto w parne luizjańskie
popołudnie. Rozejrzałam się dookoła z westchnieniem.

— Jak daleko stąd do centrum? — zapytałam. Smutny Pan Numer
Jeden, już stojący na zewnątrz, uśmiechnął się do mnie pocieszająco.

— Jakieś dwie mile. Okolica jest naprawdę ładna, to będzie przy-
jemny spacer — odpowiedział. — Zawsze może też pani wynająć
samochód. W Belleville na pewno znajdzie się jakaś wypożyczalnia.

Pokiwałam z roztargnieniem głową, spoglądając znów na dom. Pomalowane na biało okiennice odznaczały się od drewnianej elewacji i dodawały miejscu uroku; szkoda, że równocześnie całość wyglądała tak, jakby miał ją zawalić mocniejszy podmuch wiatru. Fakt, że dom nadal stał, był zapewne wynikiem jedynie łaskawości Katriny, która ominęła Belleville na swojej niszczycielskiej trasie.

Weszliśmy na werandę, a smutni panowie uprzejmie wnieśli moje walizki. Któryś z nich zadzwonił do drzwi, po czym nastąpiła bardzo długa chwila oczekiwania, w trakcie której moi towarzysze popatrywali po sobie niepewnie.

Może się rozmyślił i zwiął, pomyślałam z nadzieją. A mogłam wybrać Atlantę. Nie musiałam uciekać do jakiejś dziury zabitej dechami.

Potem jednak drzwi się otworzyły i wszystkie te myśli natychmiast wyleciały mi z głowy.

— Nareszcie — mruknął mężczyzna, który pojawił się w progu.
— Mieliście być godzinę temu.

— Samolot się spóźnił. — Smutny Pan Numer Jeden z zakłopotaniem spojrział na zegarek. — Agenci Chase i Thierry. Miło nam poznać.

Ach, więc tak się nazywali, pomyślałam, gdy wymieniali uściski dłoni. Potem ciemne oczy mężczyzny spoczęły na mnie i nagle poczułam się bardzo niepewnie.

Na oko dałabym mu jakieś trzydzieści pięć lat. Był wysoki i barczysty, tak że T-shirt i dresy w niektórych miejscach opinały jego mięśnie. Nie przypominał jednak typowego agenta FBI, a z pewnością bardzo różnił się od obydwu smutnych panów. Wydawał się nieco niechlujny, na ostro zarysowanej szczęce miał kilkudniowy zarost, ciemne włosy rozczochrane, jakby od rana się nie czesał, a usta zaciśnięte w wąską kreskę. W dodatku oczy miał tak ciemne, że tęczęwki niemal zlewały się ze źrenicami. Gdy obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, zadrżałam i natychmiast zwymyślałam się za tę reakcję.

Wychyliłam się do przodu i też wyciągnęłam rękę.

— Cześć. Jestem...

— Wiem, kim pani jest, panno Sherwood — przerwał mi, cofając się do środka. — Proszę wejść, musimy omówić zasady naszej współpracy. Panowie też chcą zostać?

Panowie wymienili jedynie znaczące spojrzenia, po czym zdecydowanie pokręcili głowami. Jeden z nich popatrzył na mnie ze współczuciem.

Zapowiadała się świetna zabawa.

Odjechali tak szybko, jak tylko mogli, żeby nie wyjść na nieuprzejmych. Przedtem pomogli mi wnieść walizki do środka, bo agent Blake się nie pofatygował, i pożegnali się całkiem miło. Jeden z nich zostawił mi nawet numer telefonu, jak się wyraził: „na wszelki wypadek”. Na koniec wymieniliśmy kilka ciepłych słów. Podejrzałam, że z agentem Blakiem raczej tak sympatycznie nie będzie.

Ale kto wie, może oceniałam go zbyt pochopnie.

Wnętrze domu całkowicie potwierdzało moje pierwsze wrażenie. Podłogi skrzypiały, w starych oknach widniały spore szpary, tapety były wypłowiałe, a meble wiekowe, choć dobrze utrzymane. Kiedy jednak ukradkiem rozejrzałam się po salonie, do którego wprowadził mnie agent Blake, stwierdziłam, że wnętrza były czyste i zadbane, w przeciwieństwie do mojego gospodarza. Może miał kogoś do sprzątania?

— Proszę usiąść — powiedział szorstko, kiedy przez chwilę stałam w drzwiach do salonu. Gdy w końcu na niego spojrzałam, siedział już w jednym z foteli, drugi, identyczny, w odcieniu kawy z mlekiem, stał na środku pokoju. Oba meble wraz z kanapą do kompletu zostały ustawione wokół drewnianego stolika do kawy. Pomieszczenie było doskonale oświetlone dzięki wysokim oknom wychodzącym na ogród za domem. — Chciałbym usłyszeć od pani całą historię.

Usiadłam na kanapie naprzeciwko niego. Miałam wielką ochotę poprosić go o przełożenie tej rozmowy. W domu było gorąco i marzyłam o przebraniu się w coś lżejszego niż dżinsy i koszula z długim rękawem, poza tym chciałam się odświeżyć i odpocząć po podróży. Najwyraźniej jednak nie miałam wyjścia.

— Sądziłam, że został pan o wszystkim poinformowany — odparłam ostrożnie. Skinął głową i skrzywił się, zaciskając dłoń na lewym udzie.

— Owszem, ale chcę to usłyszeć od pani. Relacja z pierwszej ręki to zawsze coś innego niż czytanie akt.

Miałam swoje akta w FBI. Już samo to powinno mi podpowiezieć, że moje życie nie potoczyło się dokładnie tak, jak planowałam.

— W porządku. — Nerwowo strzeliłam stawami w palcach. — Jak pan zapewne wie, jestem dziennikarką śledczą. Całkiem niezłą i proszę mi wierzyć, nie przemawia tu przeze mnie próżność. W zeszłym roku trafiłam na ślad afery związanej z wyciekiem chemikaliów z jednego z zakładów produkcyjnych pewnej ogromnej, znanej firmy. Odsetek ludzi, którzy zachorowali na raka, w promieniu kilkunastu mil od zakładów był przerażająco wysoki. Przeprowadziłam porządne śledztwo i znalazłam dowody, których potrzebowałam, żeby nagłośnić całą sprawę. FBI się nią zainteresowało, bo podejrzewało, że była ona od pewnego czasu zamiatana pod dywan przez wysoko postawionych urzędników władz stanowych. Kilka miesięcy temu osoby zarządzające zakładem trafiły do aresztu. Obecnie oczekują na proces, ale we własnych domach, bo wszyscy bardzo szybko wyszli za kaucją.

— A pani stała się głównym świadkiem — dodał agent Blake. Skinęłam głową. — Jak rozumiem, właścicielowi firmy nie postawiono żadnych zarzutów.

— Nie zdobyłam dowodów, które jednoznacznie świadczyłyby, że wiedział o nieprawidłowościach — potwierdziłam. — Winę

udało mu się zrzucić na zarządzających zakładem, ale oni do niczego się nie przyznają. Nadal jednak to moje zeznania są kluczowe dla całej sprawy, a proces rozpocznie się dopiero za trzy miesiące.

— Dlatego ktoś próbował panią zabić? — Wzdrygnęłam się, gdy to powiedział, ale po nim nie było widać żadnych uczuć. Odchylił się mocno w fotelu, cały czas nie spuszczał ze mnie wzroku. Byłam bezczelna, potrafiłam wejść oknem tam, gdzie nie chcieli mnie wpuścić drzwiami, oskarżałam już grube ryby o różne przekręty, a jednak pod tym ciemnym spojrzeniem czułam się dziwnie nieswojo. — Ze względu na to, że jest pani ważnym świadkiem?

— Tak uznało FBI. — Wzruszyłam ramionami. — Spędziłam dwa tygodnie w szpitalu pilnowana przez policję. A potem ktoś mądrzejszy ode mnie doszedł do wniosku, że do czasu procesu powinnam... zniknąć z radaru.

— Dla kogoś takiego jak pani to będzie trudne, prawda? — mruknął. Miał gładki, głęboki głos, którego całkiem przyjemnie się słuchało i który budził zaufanie. Bez problemu mogłam go sobie wyobrazić w idealnie skrojonym garniturze, ze spluwą w ręce, a jednak z jakichś powodów siedział w tym starym domu na głębokim Południu w dresach i byle jakim T-shircie i miał mnie niańczyć przez najbliższe trzy miesiące. — Pewnie jest pani przyzwyczajona do... bycia w świetle reflektorów.

— W świetle reflektorów? — powtórzyłam, unosząc brwi. — Owszem, liczyłam na Pulitzera, publikując ten artykuł, i prawdę mówiąc, nadal na niego liczę. Owszem, lubię Nowy Jork i szybkie życie. Ale to nie znaczy, że chcę być jakąś rozpoznawaną w całym kraju gwiazdą dziennikarstwa. Poza tym mam swój rozum i swoje priorytety. A moim priorytetem w tej chwili jest pozostanie przy życiu.

— Jak rozumiem, nikt z pani rodziny nie wie, gdzie pani obecnie przebywa? — zapytał, jakby w ogóle nie zwrócił uwagi na to, co przed chwilą powiedziałam.

— Oczywiście, że nie — odparłam z lekką pretensją. — Wiem, co robię, i nie jestem idiotką. Mam jedną zaufaną osobę, z którą będę się kontaktować przez Skype'a, dostałam też jednorazowy telefon. Jeszcze nie wiem, jak przeżyję w tym... miejscu bez dziennikarstwa, ale nie zamierzam się wychylać.

— To dobrze. — Z zadowoleniem pokiwał głową, jakbym udzieliła właściwej odpowiedzi. — To miała być moja pierwsza zasada, ale jak rozumiem, to już pani wydedukowała sama. Żadnego wychylania się, żadnych telefonów do chłopaka, żadnego przyjmowania gości z Nowego Jorku.

Mówił do mnie, jakbym była kretynką. Cholera, czy to znaczyło, że miało być więcej zasad?

— Druga zasada — dodał, jakby czytając mi w myślach. — Żadnego działania na własną rękę. Jeśli zamierza się pani wybrać do miasta, gdzieś pojechać, proszę mnie najpierw o tym poinformować. Proszę nie traktować tego jak ograniczenie pani wolności, to wszystko jedynie dla pani dobra. Muszę wiedzieć, gdzie pani szukać, gdyby coś się stało. I sam będę decydował, czy może pani pojechać gdzieś sama.

Z każdą chwilą mój pobyt w Belleville stawał się coraz bardziej zabawny.

— Trzecia zasada — kontynuował, nie czekając na moją odpowiedź. — Robi pani wszystko to, co pani każe. Jeśli powiem, że ma pani zostać w domu, to właśnie pani zrobi. Jeśli poproszę, by nie zbliżała się pani do kogoś z miasteczka, nie porozmawia pani więcej z tą osobą. To ja tutaj decyduję i jak mówiłem, robię to ze względu na pani bezpieczeństwo.

Nie odzywałam się, bo obawiałam się, że z moich ust wypadnie coś bardzo niecenzuralnego. Wiedziałam, że miał rację, ale obecny sposób, w jaki mi to przekazywał, absolutnie nie zachęcał do słuchania.

— Wreszcie czwarta zasada — ciągnął niemal bez zająknięcia. — Rozumiem, że nasza sytuacja nie jest komfortowa, jako że musimy dzielić dom. Było to najprostsze rozwiązanie, umożliwiające mi najskuteczniejsze pilnowanie pani. Nie oznacza to jednak, że jesteśmy współlokatorami lub że mamy zostać przyjaciółmi. Jest pani dla mnie pracą, a ja dla pani zapewne uciążliwością, nie udawajmy więc, że sprawy wyglądają inaczej. Proszę zostać na piętrze, a ja nie będę zakłócał pani prywatności, jeżeli oczywiście nie znajdzie się pani w niebezpieczeństwie. Czy to jasne?

Pokiwałam głową, niezdolna wydobyć z siebie choćby słowo. Jakim cudem mam wytrzymać z tym człowiekiem trzy miesiące pod jednym dachem?

— Jakieś pytania?

— Do kogo należy ten dom? — wydusiłam z siebie, kiedy w końcu pozwolił mi dojść do głosu. Agent Blake z zadowoleniem pokiwiał głową.

— To dobre pytanie, spodziewałem się czegoś mniej racjonalnego. — Och, najwyraźniej miał o mnie świetne zdanie! — Nie jestem posiadaczem tego lokalu, jedynie wynajmuję parter od jego właścicielki. Należy do pani Louisy Cormier, pewnej sympatycznej staruszki, która parę lat temu ponownie wyszła za mąż i przeprowadziła się do swojego męża ulicę dalej. Piętro do tej pory było niezamieszkałe, pani Cormier jakoś nie mogła znaleźć odpowiedniego lokatora. — *Ciekawe, ilu przepędził ten ponury buldog*, pomyślałam złośliwie. — Zarekomendowałem panią. Powiedziałem tylko tyle, że jest pani pisarką z Nowego Jorku, moją znajomą, i że szuka pani spokojnego miejsca, by tworzyć. Całą resztę może pani dopowiedzieć sama.

— Jak to jest, że FBI może sobie pozwolić na oddelegowanie swojego agenta na trzy miesiące do pilnowania świadka? — pytałam z ciekawością. — Nie wydaje mi się to standardowym postępowaniem...

— Przebywam akurat na przymusowym urlopie — odpowiedział niechętnie. — To było jedyne zadanie, jakie mogło mi zaproponować Biuro. Wolę ochraniać świadka w moim własnym domu od bezczynności.

— Na przymusowym urlopie? — podchwyciłam. — Dlaczego? Agent Blake skrzywił się znowu, jakby coś go zabolalo.

— To już nie jest pani sprawa, prawda? — No tak, zasada czwartą. — Proszę się nie przejmować, jestem w stanie panią ochronić, gdyby zaszła taka konieczność. Choć moi przełożeni sądzą, że jest pani wystarczająco dobrze ukryta i nie będzie takiej potrzeby.

Miałam taką nadzieję. Nawet jeśli zachowywał się profesjonalnie, nie podobała mi się myśl, że miałabym zawdzięczać życie agentowi Blake'owi.

— Jak rozumiem, będzie pani przez te miesiące pracować zdalnie? — dodał.

Westchnęłam.

— Jestem wolnym strzelcem, więc nie wiąże mnie żadna umowa o pracę. Trudno jednak być dziennikarką śledczą, kiedy siedzi się w Belleville w Luizjanie.

— Ma pani rację, to raczej spokojne miasteczko. — W jego głosie słyszałam drwinę, ale twarz nadal miał poważną. — Proszę mi wierzyć, też czasami się tu nudzę. Belleville ma jednak bardzo przyjemne centrum, mogę pani pożyczyć samochód, gdyby chciała się pani tam przejechać.

Na razie marzyłam jedynie o prysznicu i miękkim łóżku. W końcu wstałam wcześniej rano, żeby zdążyć na samolot. I o klimatyzatorze. Oddałabym mojego niedoszłego Pulitzera za klimatyzator.

— Skoro już wszystko ustaliliśmy, to jeśli nie ma pani więcej pytań, sugerowałbym udanie się na górę — powiedział miękko, chociaż jego słowa nie pasowały do tego tonu. Uświadomiłam sobie, że właśnie przeszłam odprawę. Jak w jakimś pieprzonym oddziale FBI.

— Pewnie jest pani zmęczona po podróży i chciałaby zobaczyć swoje mieszkanie. Nie będę pani dłużej zatrzymywał.

Podał mi jeszcze klucze do drzwi wejściowych, po czym zamilkł, wpatrując się we mnie oczekująco. Zakładał, że wstanę i wyjdę, ale sam nie zamierzał mi w tym pomóc. Miałam dwie walizki, które musiałam zataścić po schodach na górę.

Po prostu świetnie.

— Schody? — Starłam się nie pokazywać po sobie zniecierpliwienia. — Mogę wejść na górę ze środka czy muszę wychodzić...

— Nie, oczywiście. Schody są w głębi korytarza — odparł, z grubsza wskazując mi kierunek ręką. Nadal jednak nawet się nie podniósł. — Życzę miłego dnia, panno Sherwood.

Nawet nie wiem, jak ma na imię, przemknęło mi przez głowę.

Wstałam z fotela i ruszyłam w kierunku korytarza, w którym smutni panowie zostawili moje walizki. Schody były dokładnie tam, gdzie wskazał agent Blake. Spojrzałam na nie z niezadowoleniem, po czym przeniosłam wzrok na stojące obok mnie walizki. Były bardzo wygodne, z czterema kółkami i wyciąganymi rączkami, i bardzo dobrze woziło się je po równym terenie.

Nieco gorzej wносиło po schodach, bo równocześnie były też cholernie ciężkie.

Westchnęłam i powoli rozpoczęłam wędrówkę na górę. Najwyraźniej pomoc z walizkami nie wchodziła w zakres obowiązków służbowych.

Cóż, poradzę sobie sama, pomyślałam. Jak zwykle.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nigdy nie byłam buntowniczką. Lubiłam naginać zasady i balansować na krawędzi, ale niczego nie robiłam ostentacyjnie.

Do czasu, gdy znalazłam się w Belleville w Luizjanie.

Gwoździem do trumny okazał się chyba fakt, że w lodówce na piętrze nie było absolutnie nic do jedzenia. Nie żebym spodziewała się cokolwiek tam zastać, w końcu nie wylądowałam w Hiltonie, ale po zataszczeniu dwóch walizek na piętro, prysznicu w kompletnie zimnej wodzie i zorientowaniu się, że wiatrak w sypialni nie działa, miałam dość.

Właśnie dlatego zamieniłam džinsy na szorty, wsunęłam nogi w tenisówki, a jednorazowy telefon, pieniądze i klucze włożyłam do tylnej kieszeni, po czym zewnętrznymi schodami wymknęłam się z domu pani Louisy Cormier.

Pokonanie dwóch mil do centrum miasteczka wydawało mi się niewielką niedogodnością w porównaniu z koniecznością spędzenia tu całego popołudnia i wieczoru o pustym żołądku. Jasne, powinnam była dać znać mojemu goryłowi, że gdzieś się wybieram, ale chciałam przetestować granice i zobaczyć, co zrobi, kiedy coś pójdzie nie po jego myśli. Tak naprawdę ani przez chwilę nie wierzyłam, by płatni zabójcy mogli się na mnie czaić w Belleville.

Chyba nikomu nie przyszłoby do głowy, że mogłabym się ukrywać w takim miejscu.

Liczyłam na złapanie jakiejś podwózki, ale ulica, którą ruszyłam, była całkowicie opustoszała. Miałam nadzieję, że prowadziła do centrum, bo mój jednorazowy telefon nie miał internetu i nie mogłam sprawdzić trasy. Uważnie rozglądając się dookoła, szłam poboczem, bo najwyraźniej w Belleville nie odkryto jeszcze chodników.

Gdybym była nieco mniej lekkomyślna, pewnie obawiałabym się sama iść taką drogą — z obydwu stron otaczały mnie luizjańskie lasy, wysokie, bujne, zielone i podmokłe, i dopiero po jakimś czasie zaczęły ustępować pierwszym zabudowaniom, niewysokim, nowoczesnym domkom z żywopłotami, przycupniętym w pewnej odległości od drogi. Słońce nadal mocno świeciło, zniżało się jednak coraz bardziej, przez co upał zdążył nieco zelżeć. Rześkie, świeże powietrze, zupełnie inne niż w Nowym Jorku, powodowało, że szło mi się bardzo dobrze, więc specjalnie się nie spieszyłam.

Cały spacer zajął mi około godziny. Kiedy w końcu dotarłam do centrum, musiałam przyznać, że Belleville rzeczywiście robi dobre wrażenie. Centralnym punktem wydawał się plac. Na jego środku widniał ogromny zadbane klomb, wokół którego ustawiono pomalowane na biało ławeczki. Przy placu znajdowało się parę sklepów, jakaś kawiarnia i restauracja. Gdy zajrzałam w odchodzące od niego uliczki, dostrzegłam kolejne markizy i spacerujących ludzi.

Miejscowych było sporo, ale w porównaniu z Nowym Jorkiem — zaledwie garstka. Przyzwyczajona do wielkomiejskiego ruchu, przez chwilę nie potrafiłam odnaleźć się w świecie, w którym nie musiałam przeciskać się chodnikiem, uważać na przejeżdżające samochody (najwyraźniej centrum było wyłączone z ruchu) i zasłaniać

uszu, gdy ulicą jechała karetka albo kolejna jednostka straży pożarnej. W Belleville słychać było normalny uliczny gwar, choć zdecydowanie cichszy niż ten, który znałam, a ludzie idący chodnikiem ani nie wydawali się nigdzie spieszyć, ani nie próbowali mnie staranować. Wręcz przeciwnie: co chwila zatrzymywali się, by kogoś pozdrowić, zamienić z kimś parę słów lub po prostu uchylić kapelusza. Wyglądało na to, że wszyscy się znali.

Parę osób obejrzało się za mną, ale moje pojawienie się nie zrobiło na nikim większego wrażenia, za co byłam wszystkim bardzo wdzięczna. Kiedy już zlokalizowałam wypożyczalnię samochodów i załatwiłam sobie transport do domu agenta Blake'a, ruszyłam na poszukiwanie czegoś do jedzenia.

Mój wybór padł na jeden z lokali przy placu, wyglądający trochę jak bar, a trochę jak restauracja. Siedziało w nim sporo miejscowych, część nawet coś jadła, więc kuchnia nie mogła tam być zła, a i piwo na pewno dobrze by mi zrobiło. Wybrałam jeden ze stolików na zewnątrz, bo nadal było przyjemnie ciepło, a następnie złożyłam zamówienie u nieco ode mnie młodszej, sympatycznej i uśmiechniętej blondynki.

Kiedy zostałam sama, zaczęłam udawać, że nie słyszę zaciekawionych głosów wokół mnie; najwyraźniej w lokalu wzbudzałam większe zainteresowanie niż na ulicy. Poszukałam wzrokiem czegoś, czym mogłabym się zająć do czasu zrealizowania mojego zamówienia, i zauważyłam leżący na stoliku numer miejscowej gazety. „Belleville Daily”, głosił tytuł wypisany u góry standardową czarną czcionką. Nieśmiertelny Times New Roman.

Jak analogowo, pomyślałam z rozbawieniem. W Nowym Jorku publikowałam już głównie w internecie, chociaż papierowe gazety nadal wychodziły i również znajdowały się w nich moje artykuły. Skoro jednak byłam w Belleville, mogłam zobaczyć, co też ciekawego działo się w tym mieście.

Po pobieżnej lekturze wiedziałam już, że głównymi tematami zajmującymi miejscowych w ostatnich tygodniach były:

- a) kiermasz przy lokalnym kościele, który odbył się w poprzednią niedzielę;
- b) zaprzysiężenie trzech nowych policjantów;
- c) pięćdziesiąta rocznica ślubu niejakich Mary i Joego Aldridge'ów;
- d) zaginięcie psa burmistrza.

Wobec takich sensacyjnych newsów mogłam tylko odłożyć gazetę i pomodlić się o ekspresowe wynalezienie wehikułu czasu, który pozwoliłby mi natychmiast przenieść się w przyszłość o trzy miesiące.

— Nie jesteś stąd.

Podniosłam wzrok na kobietę, która właśnie bez pytania dosiadła się do mojego stolika. Staruszka o twarzy pomarszczonej jak śliwka, związanych w kok siwych włosach i bystrym spojrzeniu brązowych oczu miała śpiewny, południowy akcent, ale i bez tego domyślałabym się, że jest miejscowa.

— Nie. — Uśmiechnęłam się uprzejmie. — Przyjechałam z Nowego Jorku.

Niespodziewanie złapała mnie za rękę, a gdy odruchowo chciałam ją wyrwać, wzmocniła uścisk i skrzywiła się.

— Jesteś *sorsyè*.

Zamrugałam. Nie znałam tego słowa i sądząc po oskarżycielskim tonie, jakim je wypowiedziała, wcale nie chciałam znać. Czy to był kreolski?

Kobieta próbowała coś jeszcze powiedzieć, ale przerwał jej oburzony głos, który rozległ się nad naszymi głowami:

— Babciu! Przestań nam straszyć klientów!

Po chwili pojawiła się ta sama blondynka, która wcześniej przyjmowała moje zamówienie. Była wyraźnie zdenerwowana. Starsza

kobieta posłała mi jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie, po czym posłusznie wstała od stolika. Patrzyłam za nią, gdy zniknęła w pomieszczeniu za barem, i nie mogłam pozbyć się dziwnego, irracjonalnego uczucia niepokoju, które ogarnęło mnie po jej słowach.

Ale przecież to nic nie znaczyło, prawda?

— Wszystko w porządku? — Blondynka pochyliła się nad moim stolikiem, a potem z wahaniem usiadła naprzeciwko. — Bardzo przepraszam za babcię. Zazwyczaj nie schodzi z piętra... Nie wiem, co jej przyszło do głowy.

— Nic się nie stało — zapewniłam ją z roztargnieniem. — Wiesz może, co miała na myśli? Powiedziała, że jestem...

— ...*sorsyè* — dokończyła, krzywiąc się. — To nic takiego. Proszę się tym nie przejmować. Babcia ma już sporo lat i czasami jej się wszystko miesza.

— Ale co to właściwie znaczy?

— Nic ważnego — mruknęła, po czym spróbowała podnieść się od stolika. Chwyciłam ją lekko za przedramię.

— Przepraszam, nie jestem stąd, po prostu mnie to zaciekawiło — wyjaśniłam uspokajająco. Dziewczyna zawahała się. — To mój pierwszy dzień w Belleville. Mam na imię Roxie, a ty?

— Taylor — przedstawiła się. — Skąd przyjechałaś?

Akurat tego nie musiałam ukrywać.

— Z Nowego Jorku.

— Wow, serio? — Wyraźnie zaimponowałam jej tymi słowami. — To super! Zawsze chciałam zobaczyć Nowy Jork. Jak tam jest?

— Zupełnie inaczej niż tutaj — powiedziałam z uśmiechem. — Mniej zieleni, więcej stali i szkła i zdecydowanie gorzej pachnie. Właściwie to tutaj jest całkiem fajnie. Powinnaś się cieszyć, że mieszkasz w takim ładnym miasteczku.

Przez chwilę gawędziłam z Taylor, zdecydowana zawrzeć jakieś nowe znajomości podczas tego wypadu; nie mogłam przecież

przez trzy miesiące obijać się po domu agenta Blake'a. Kiedy już wyrzuciłam z pamięci staruszkę, która wyraźnie próbowała mi coś przekazać, wieczór na mieście okazał się całkiem udany. Zjadłam dobry obiad, dostałam piwo na koszt firmy (w ramach zadośćuczynienia za to napastowanie przez babcię Taylor) i zobaczyłam kawałek Belleville, który jedynie potwierdził słowa smutnych panów o wspaniałości tego miasteczka. Z jednej strony wszystko to bardzo mnie cieszyło, bo zapowiadało spokojne trzy miesiące, ale z drugiej...

Z drugiej bałam się, że umrę tu z nudów.

Kiedy w końcu Taylor zostawiła mnie samą z moim obiadem, ponownie zerknęłam do lokalnej prasy. Na dole pierwszej strony widniała informacja o poszukiwaniu pracownika.

Miałabym aż tak dużo szczęścia?, pomyślałam, czytając krótkie ogłoszenie. Najwyraźniej redakcja straciła ostatnio osobę odpowiedzialną za pisanie relacji z wszelkich miejscowych imprez. Natychmiast poczułam przypływ ekscytacji.

Może wcale nie będę musiała umierać z nudów przez te trzy miesiące? Może uczynny Wszechświat właśnie podaje mi pomocną dłoń?

Pod ogłoszeniem widniał numer telefonu i adres, wyrwałam więc z gazety niewielki prostokąt i postanowiłam osobiście pojawić się w redakcji następnego dnia. Potrzebowałam tej pracy.

Potrzebowałam jakiegokolwiek zajęcia, żeby nie oszaleć w tym mieście.

Zdażyłam zjeść i zapłacić za posiłek, gdy na plac z rykiem silnika zajechał wielki srebrny ram, wywołując oburzenie wśród miejscowych. Zatrzymał się pod samym klombem, w miejscu, gdzie nie tylko postój, ale wszelki ruch kołowy był zabroniony.

Ze środka nikt nie wysiadł, ale domyśliłam się, kto jest kierowcą. Klakson rama zatrząbił potężnie, wywołując zgorzelenie wśród

chyba wszystkich ludzi znajdujących się w tamtej chwili na placu. Kiedy wstałam od stolika, niezadowolone spojrzenia przeniosły się na mnie.

— Bardzo państwa przepraszam — powiedziałam głośno, uśmiechając się pojednawczo, po czym ruszyłam do samochodu, który zatrąbił ponownie.

Ten facet robił to specjalnie.

Zawieszenie samochodu było bardzo wysokie i miałam problem, żeby wsiąść do środka. Dwudrzwiowy ram z wielką, otwartą paką wyglądał jak nowy nabytek jakiegoś mieszczucha, który postanowił przeprowadzić się na wieś i udawać farmera. Kiedy w końcu wdrapałam się na siedzenie pasażera, napotkałam surowe spojrzenie agenta Blake'a.

— Wynajęłam samochód — oświadczyłam obojętnie. — Proszę mnie wysadzić przy wypożyczalni.

— Jutro go pani odbierze — odpowiedział stanowczo. — Na dziś mam dosyć związanych z panią problemów.

No dobrze, może wiedziałam, że miał sporo racji, ale sposób, w jaki do mnie mówił, i tak uznałam za oburzający.

— Jak mnie pan znalazł? — zapytałam z ciekawością, bo nie miałam ochoty się kłócić. Powinnam raczej jakoś ułożyć sobie z nim stosunki, skoro mieliśmy spędzić razem trzy miesiące. — Zamierzałam sama...

— Ma pani nadajnik w telefonie — wszedł mi w słowo. — I owszem, zdaję sobie sprawę, że zamierzała pani wszystko zrobić sama. Ale albo jest pani głucha, albo kompletnie głupia. Rozmawialiśmy na ten temat kilka godzin temu, prawda? Prosiłem, by informowała mnie pani o każdym planowanym wyjściu z domu. Nie rozumie pani, że przez własną lekkomyślność może pani znaleźć się w niebezpieczeństwie?

Hm, zabawne, dla mnie jego słowa zupełnie nie brzmiały wtedy jak prośba.

Agent Blake ruszył z miejsca z piskiem opon i wkrótce wyjechał na drogę, po której wolno już było jeździć. Ruch był niewielki, mógł więc poświęcić mi przynajmniej część swojej uwagi.

— Nie wiem, czy ma pani życzenie tu zginąć, ale moim zadaniem jest pani pilnować — kontynuował, przejeżdżając wzdłuż szpaleru drzew pochylających się nad drogą w powoli zapadającym zmierzchu. — Jeśli bardzo chce pani zginąć, proszę wziąć pod uwagę, jakie to zrobi wrażenie na moich przełożonych. Nie chciałbym, żeby przez panią mój urlop miał potrwać dłużej, niż to absolutnie konieczne.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Drgający mięsień w jego policzku odpowiedział mi, że gość jest zirytowany, tylko bardzo nie chce tego po sobie pokazać. Nie mógł mi chyba jaśniej dać do zrozumienia, dlaczego zależało mu, żebym przeżyła te trzy miesiące. Jasne, zrozumiałam, że byłam dla niego tylko pracą, ale czy to nie lekka przesada?

— Niech się pan nie martwi, wszystko będzie w porządku — zapewniłam go uspokajająco, nie mogąc się powstrzymać, żeby nie zawrzeć w moich słowach odrobiny lekceważenia. — Jestem pewna, że nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, żeby szukać mnie w Belleville. Nie musi się pan tego obawiać.

— Gdybym dostawał centa za każdym razem, gdy ktoś mówił mi, że wszystko będzie w porządku, a potem okazywało się, że jednak nie było, miałbym już miliony na koncie — mruknął. — Poprosiłem jedynie o przestrzeganie czterech zasad. Czy to naprawdę dla pani zbyt wiele?

Skrzyżowałam ręce na piersi i westchnęłam.

— Nudziłam się.

— Nudziła się pani? — powtórzył z niedowierzaniem, unosząc brew i zerkając na mnie znad kierownicy. — Czy to dlatego w ogóle tu pani jest, bo się pani nudziła? To stąd pomysł napisania o wycieku i zadarcie z naprawdę wpływowymi ludźmi, którzy teraz próbują panią zabić?

Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie tamtego słonecznego popołudnia sprzed miesiąca i odruchowo dotknęłam miejsca, w które wtedy dostałam. Zaledwie parę cali od serca. Gdybym miała odrobinię mniej szczęścia, już bym nie żyła.

— Naprawdę pan myśli, że to lubię? Ukrywanie się tu i oglądanie się przez ramię? — warknęłam, zanim zdążyłam się powstrzymać. — Zawsze potrafiłam wpadać na tropy takich spraw. Nie potrafię wyjaśnić jak, ale tak jest, odkąd zostałam dziennikarką. A skoro już na to wpadłam, jak mogłam tak po prostu odejść? Zostawić tych ludzi, nie pomóc im w wywalczeniu sprawiedliwości? Nie chodzi o mnie, nigdy nie chodziło. Może mi pan nie wierzyć, proszę bardzo, ale to nie zmieni mojej motywacji. Gdybym w zeszłym roku wiedziała, że śledztwo doprowadzi do zamachu na moje życie i zesłania do jakiejś dziury na Południu, i tak zrobiłabym to samo.

Po tych słowach w samochodzie zapadło milczenie. Przez moment słyszałam tylko niski warkot silnika bez problemu pokonującego kolejne mile dzielące nas od domu Louisy Cormier przy Temperance Street. Mocno odkręcona klimatyzacja sprawiła, że na nogach pojawiła mi się gęsia skórka.

— Nie znam pani i nie zamierzam pani oceniać — powiedział w końcu agent Blake tonem, który miał być chyba pojednawczy — ale pani obecne zachowanie pozostawia wiele do życzenia. Nie mam zamiaru liczyć na to, że nikt tu pani nie znajdzie i wszystko będzie w porządku. Gdyby nie zabrała pani telefonu, nawet nie wiedziałbym, że wyszła pani z domu. Przeszła pani pieszo całą drogę do centrum?

— To raptem dwie mile. — Wzruszyłam ramionami, udając, że wcale nie miałam dość po takim spacerze. — To nic takiego.

— A więc spacerowała pani samotnie po okolicy, w której nie ma absolutnie nic poza lasem i drzewami — podsumował z przekąsem. — Gdyby ktoś zamierzał się na panią zacząć, wybrałby pewnie właśnie takie miejsce. Jeśli zamierza pani podróżować do centrum, sugeruję samochód. I bardzo proszę, żeby przestała się pani zachowywać tak lekkomyślnie.

No dobra, miał rację. I był dużo spokojniejszy, niż sądziłam. Moje wyjście tego wieczoru miało głównie go sprowokować i pozwolić mi się przekonać, jakim jest człowiekiem. No cóż, raczej nie takim, którego łatwo wyprowadzić z równowagi. Ale nic w tym dziwnego, skoro był pieprzonym agentem FBI!

— Dobrze, będę z panem współpracować — odparłam, czym zdziwiłam chyba nas oboje. — Tak jak wspominałam, wynajęłam już własny samochód, jutro go odbiorę. I od razu uprzedzam, że wybieram się jutro na rozmowę w sprawie pracy.

— Pracy? — powtórzył. — Jakiej pracy? Była pani na mieście jedno popołudnie i już zdążyła sobie pani znaleźć pracę?

Zajechaliśmy wreszcie na podjazd przed domem. Agent Blake zatrzymał samochód przed głównym wejściem, jednak nie zgasił silnika. Odwróciłam się do niego i spotkałam jego uważne, ciemne spojrzenie, pod którym znowu zadrżałam. *Weź się w garść, Sherwood*, poleciłam sobie stanowczo w myślach.

— Znalazłam ofertę, zamierzam jutro wybrać się na miejsce i zgłosić swoją kandydaturę — wyjaśniłam. — Oczywiście nie podam referencji z poprzedniej pracy, ale coś wymyślę, proszę się nie obawiać. Wbrew temu, co pan o mnie sądzi, potrafię myśleć.

— Jeszcze nic o pani nie sędzę — zaprotestował natychmiast. — A jeśli chodzi o tę pracę... Cóż, nie zamierzam odwozić pani od tego pomysłu, chociaż nie uważam, żeby należał do najmądrzejszych.

Zawiozę panią rano do miasta, żeby mogła pani odebrać samochód. Z resztą musi pani poradzić sobie sama.

Niczego innego się nie spodziewałam.

— Dlaczego właściwie agent taki jak pan spędza przymusowy urlop w Belleville? — zapytałam. Nie mogłam się powstrzymać, zastanawiałam się nad tym od momentu, gdy go spotkałam. — Widzę przecież, że to zadanie nie jest dla pana szczytem marzeń. Więc dlaczego...

— Zasada czwarta, pamięta pani? — przerwał mi znowu. — Nie udawajmy, że jesteśmy dla siebie kimś więcej niż tylko zleceniem. Rozumiem, że pani doświadczenia jako dziennikarki wymuszają zainteresowanie rozmówcą i jego historią, ale ja nie jestem pani tematem. Nie będę się pani spowiadał z mojego prywatnego życia.

Pokiwałam głową. Nie zamierzałam naciskać, skoro pytałam z czystej ciekawości. Nie oznaczało to, że odpuściłam, umiałam jednak czekać na bardziej sprzyjające warunki, by dowiedzieć się wszystkiego, czego chciałam.

— Jasne — mruknęłam, chwytając za klamkę. — Jutro chciałybym wyjechać około dziewiątej. Ach, i chętnie wpadnę na śniadanie o ósmej, bo przez tę pana interwencję na placu nie zdążyłam zrobić zakupów. Mam całkowicie pustą lodówkę.

Agent Blake nadal siedział za kierownicą, gdy wyskoczyłam na zewnątrz. Zawieszenie rama było naprawdę wysokie i zachwiałam się, próbując utrzymać równowagę. Obeszłam samochód i poczekałam, aż szyba po jego stronie zjedzie w dół, żeby mógł mi odpowiedzieć.

— Śniadanie jem o siódmej — oświadczył i byłam prawie pewna, że powiedział to mi na złość. — Oczywiście zapraszam, nie chciałbym, żeby pani umarła z głodu. Dobranoc.

Znowu mnie odprowadził. Skinęłam mu głową, obróciłam się na pięcie i skierowałam do zewnętrznych schodów. Nasłuchiwałam,

czy agent Blake wyłączy silnik i też pójdzie do domu. Po chwili — byłam już wtedy na dolnym stopniu schodów — nagle cisza odpowiedziała mi, że rzeczywiście silnik rama zgasł, nie usłyszałam jednak żadnych kroków.

Zrozumiałam dopiero po chwili.

Ten palant siedział w samochodzie i obserwował, czy weszłam do środka.

Miałam ochotę odpłacić mu pięknym za nadobne i wymyślić coś głupiego, ale byłam zbyt zmęczona na takie ekstrawagancje. Chciałam już tylko zagrzebać się w pościeli i nie wstawać z łóżka przez najbliższe dwanaście godzin.

Utarcie nosa pewnemu sobie agentowi FBI musiało zaczekać, aż się wyśpię.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

MIŁOŚĆ, ZAGADKI I MAGIA NA AMERYKAŃSKIM POŁUDNIU

Belleville w stanie Luizjana. Miejsce idealne — w pięknej okolicy, z łagodnym klimatem, zamieszkanе przez sympatycznych ludzi. Wymarzone miasto do życia? Nie dla Roxanne Sherwood, dziennikarki śledczej z Nowego Jorku, nieprzyzwyczajonej do ciszy, spokoju i błęgiego nieróbstwa. Roxie nigdy z własnej woli nie zdecydowałaby się przenieść do Belleville — niestety, gdy prowadziła śledztwo, naraziła się wysoko postawionym, a przy tym niebezpiecznym ludziom i obecnie jest zmuszona żyć pod fałszywym nazwiskiem. Jakby tego było mało, przyszło jej zamieszkać z obcym mężczyzną.

Wesley Blake, agent FBI oddelegowany do ochrony Roxanne, także nie jest zachwycony przymusowym zesłaniem. I bardzo wyraźnie daje to dziewczynie odczuć. Wkrótce jednak dochodzi do ciągu dramatycznych wydarzeń, które sprawiają, że tych dwoje mocno zbliża się do siebie. Bo jak to zwykle bywa, idealne miasteczko za cichą i spokojną fasadą skrywa różne, czasami niewarte odkrycia tajemnice. Luizjana to wszak kraina voodoo...

LUDKA SKRZYDLEWSKA, mistrzyni romantycznych thrillerów,
tym razem zabiera nas w naprawdę tajemniczą podróż!

PATRONI MEDIALNI:



 **editio**red



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
📍 <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
📍 <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
📍 <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:

ebookpoint



ISBN 978-83-283-7167-5



9 788328 371675

Cena 44,90 zł